

Dziwny kontusz i dziarski mazur

PREMIERA

Moniuszko to kompozytor idealny na jubileusz, więc Teatr Wielki w Łodzi uczcił swe 50-lecie „Halką”. Tradycyjną i dostojną.

Kiedy pół wieku temu Łódź zbudowała Teatr Wielki, był to po Warszawie największy gmach operowy w Polsce i jeden z najnowocześniejszych w Europie. Powstał nieco na przekór centralnym władzom, ówczesny premier Józef Cyrankiewicz twierdził, że taki budynek w tym mieście to przesada. Lokalni szefowie nie szczydzili jednak pieniędzy, choćby na gigantyczne lustra w foyer, by w myśl zaleceń partii łódzkie kobiety mogły sobie oglądać w eleganckich sukniach.

Obawy, że widownia będzie świecić pustkami, nie sprawdziły się. Pierwsze premiery w 1967 roku wzbudziły takie zainteresowanie, że uruchomiono specjalne pociągi z Warszawy dla widzów pragnących obejrzyć przedstawienia.

Przez następne dziesięciolecia zdarzały się okresy wzlotów i regresów, jak wszędzie. W Łodzi nie było jednak łatwo robić operę, większość dyrektorów artystycznych wytrzymywała tu nie więcej niż trzy lata. Powstało jednak sporo inscenizacji, które przeszły do historii polskiego teatru.

Obecny szef artystyczny Wojciech Rodek i dyrektor naczelny Paweł Gabara też są dopiero drugi sezon, zatem średniej dyrektorskiego stażu nie zawyżają. Ostatnia dekada nie była zresztą łatwa dla Teatru Wielkiego, który przeszedł nie do końca udany gruntowny remont. Artystycznie był to czas zawirowań, a niekiedy wręcz konfliktów.

Nowy duet dyrektorski hołduje teatrowi tradycyjnemu, co nie znaczy konwencjonalnemu, za to z dużą starannością muzyczną. W tym stylu przygotowano też jubileuszową „Halkę”. Pół wieku wcześniej tym dziełem Moniuszki przywitał widzów nowo otwarty Teatr Wielki w Łodzi.

Kiedy w wydanym z okazji rocznicy albumie „Opera

obiecana” ogląda się zdjęcia z „Halki” z 1967 roku, można odnieść wrażenie, że w teatrze niewiele się zmieniło. Premierę 2017 roku zrealizował Jarosław Kilian, który hołduje tradycji, nie patrząc na zmieniające się mody teatralne. Oglądaliśmy spektakl kontuszwowo-góralski, jakby nie zdarzyły się w ostatniej dekadzie liczne inscenizacje szukające dla „Halki” współczesnego klucza interpretacyjnego.

A jednak żyjemy w innym świecie, o czym świadczy choćby fakt, że coraz trudniej znaleźć specjalistę, który potrafiłby pokazać na scenie męskie kontusze i suknie szlachcianek. To, co w Łodzi zaproponowała Weronika Karwowska jako stroje ślubne Zofii i Janusza, zakrawa raczej na żart z dawnego obyczaju.

Kostium w tym przedstawieniu jest zaś ważny, bo Jarosław Kilian oszczędnie operuje pomysłami scenograficznymi, skupiając się na plastycznym komponowaniu poszczególnych obrazów. Miało być kolorowo i widowiskowo, ale największe wrażenie wywiera moment, gdy Halka, której umiera dziecko, chce podpalić kościół, gdzie ukochany Janusz bierze ślub z inną. Scena jest pusta, z ciemności światło wydobywa jedynie Halkę – Dorotę Wójcik. A ona śpiewa przejmująco, w sposób naturalny i piękny. To wystarczy, by stworzyć żywy teatr.

Drugim atutem przedstawienia jest Dominik Sutowicz najlepszy od kilkunastu lat Jontek, jaki pojawił się na naszych scenach. Wokalnie swobodny, a przy tym doskonale interpretujący tekst, dzięki temu snujący się smętnie w innych przedstawieniach Jontek nabrał wreszcie życia.

Orkiestrę Wojciech Rodek poprowadził starannie, choć muzyce brakowało nieco nerwu dramatycznego. Tańce ułożył Emil Wesołowski, ostatni chyba choreograf, który wie, jak należy poprowadzić mazura. ©

—Jacek Marczyński

@ masz pytanie, wyślij e-mail do autora

j.marczynski@rp.pl



JULIUSZ MULARZYŃSKI / TEATR WIELKI

♦ Dorota Wójcik – przejmująca w roli Halki